

Alfred Dreszer, Agnieszka Metelska

Między koniecznością a powołaniem
: z Alfredem Dreszerem, adwokatem,
założycielem oraz pierwszym
prezesem Klubu Adwokatów Pisarzy,
redaktorem "Palestry Literackiej",
rozmawia Agnieszka Metelska

Palestra 37/12(432), 28-32

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Między koniecznością a powołaniem

Z Alfredem Dreszerem, adwokatem, założycielem oraz pierwszym prezesem Klubu Adwokatów Pisarzy, redaktorem „Palestry Literackiej”, rozmawia Agnieszka Metelska.

– Czy karierę zawodową rozpoczął pan może od wygłoszenia wspaniałego, pełnego żaru wystąpienia, które poruszyło wszystkich zebranych na sali sądowej?

– Zacząłem od porażki. W 1933 roku byłem prokuratorem w Kaliszu. Oskarżałem w sprawie, którą doskonale pamiętam do dziś. Utrwaliłem to zdarzenie w opowiadaniu *Śmierć przyszła w noc sylwestrową*. W trzeciorzędnym barze studenci witali Nowy Rok. Wśród nich był znany w mieście syn inspektora szkolnego. Drobnym i niewielkim nosił nazwisko Owoc. Podczas płacenia rachunku doszło do scysji między nim a właścicielem baru – Robakiem, ogromnym, wielkiej siły mężczyzną. Rozłoszczony Robak chwycił krzesło i zamachnął się na Owoca. Ten błyskawicznie złapał nóż leżący na stole, wysunął go przed siebie i trafił Robaka w oko. Nóż zanurzył się po rękojeść. Ogromny Robak z łoskotem runął na ziemię i natychmiast zmarł. Tragedia zelektryzowała miasto. Owoc stanął przed sądem pod zarzutem umyślnego zabójstwa. Rozpocząłem swoją mowę od złagodzenia kwalifikacji prawnej. Uważałem, że oskarżony dokonał zabójstwa pod wpływem silnego wzruszenia. Znakomity adwokat, kolega Szymański odpowiedział mi: *Timeo Dana-*



os et dona ferentes. Przeprowadził drobiazgową analizę zdarzeń, które doprowadziły do dramatycznego finału. Owoc został uniewinniony, a ja – prawdę powiedziawszy – odetchnąłem po ogłoszeniu wyroku.

– **Nie miał pan widać duszy prokuratora. Wolał pan ludzi rozumieć, usprawiedliwiać, a nie potępić?**

– Mam duże doświadczenie zawodowe. Byłem, krótko co prawda, sędzią grodzkim w Wieluniu, później występowałem jako oskarżyciel, po wojnie zostałem adwokatem. Uważam, że najtrudniej jest sądzić, ponieważ bierze się

na siebie odpowiedzialność za wyrok. Wielu sądzi, że oskarżać jest łatwo. Ale w tej roli najwyraźniej nie zyskuje się sympatii ludzi. Do słuchaczy bardziej przemawia oczyszczenie z zarzutów niż piętnowanie tego, przeciwko któremu są wszyscy: i publiczność, i prokurator, a bywa, że i sąd. obrońcy łatwiej chwycić za serce, przekonać nieprzyjaciół. Nie słyszałem, aby ktoś bił oklaski prokuratorowi. Adwokatowi to się zdarza. Mnie bito brawa, gdy stanąłem w obronie lekarki oskarżonej o nieumyślne spowodowanie śmierci dziecka. Ale za jeden ze swoich największych sukcesów, w nienajwiększym wprawdzie procesie, uważam obronę oskarżonego, który zmasakrował taksówkarza. Nieomal go zabił. Gdy wstałem, sala pełna taksówkarzy, zaczęła wyć. Umilkli słuchając. Rzecz sprowadza się do umiejętności wyrażenia ważnej myśli: niezbędna jest obecność drugiego człowieka przy tym, który zblądził.

– **Ta mądra myśl określa pana jako humanistę. Ale dopuśćmy do głosu pragmatyków. Uważają oni, że adwokat ma prawo nawet odmówić obrony. Taką możliwość dopuszcza artykuł 28 prawa o adwokaturze. Oczywiście uzasadnienie odmowy muszą usprawiedliwiać szczególnie ważne powody, niektórzy twierdzą, że na przykład mogą to być przyczyny natury politycznej czy też osobistej. Wyobrażam sobie, że adwokatowi, który stracił kogoś bliskiego w stalinowskim więzieniu trudno byłoby bronić na przykład Humera. Czy wykonując zawód adwokata można kierować się subiektywnymi kryteriami?**

– Powiem szczerze. Musiałbym przełamać wiele oporów, aby bronić pracownika urzędu bezpieczeństwa od-

powiedzialnego za śmierć ludzi. Ale adwokatowi nie wolno kierować się osobistymi poglądami w ocenie czynów innych osób, w których obronie ma stanąć. To jest fundamentalna zasada naszego zawodu, o której nigdy nie można zapominać. Ja zawsze pamiętam o ewangelicznym: „Kto jest bez winy, niech rzuci kamieniem”.

– **Adwokatura nie jest zawodem, ale powołaniem?**

– Tak uważam. Zawód adwokata powinni wybierać tylko ci ludzie, którzy chcą pomagać innym. Nie powinien być przeznaczeniem tych, dla których staje się wyłącznie źródłem zarobku. Mam nadzieję, że nie zostanę posądzony o pychę, jeśli powiem, że miałem klientów, którym dawałem pieniądze, gdy dowiedziałem się o nędzy, w jakiej żyją. Myślę, że nie byłem i nie jestem tu wyjątkiem.

– **Pierwsze doświadczenia prawnicze zdobywał pan jako prokurator w przedwojennym sądownictwie. Jakiego typu sprawy pan prowadził?**

– Byłem wiceprokuratorem sądu okręgowego w Warszawie i zajmowałem się sprawami politycznymi. Występowałem w procesach, w których oskarżonymi byli między innymi komuniści, narażając się naszemu wschodniemu sąsiadowi. Oskarżałem także tych, którzy stawali przed sądem pod zarzutem, na przykład, sabotażu na rzecz Niemców. Tym samym byłem źle widziany przez zachodniego sąsiada.

– **Był pan związany z którąś partią?**

– Nie. Ale zawsze miałem poglądy postępowe, widziałem siebie blisko lewicy. Komunistów oskrząłem spokojnie i z dystansem. Prokuratora można postrzegać jako człowieka broniącego

tych, którzy sprawują władzę, w owych czasach utożsamiano go z sanacją. Muszę przyznać, że ja miałem krytyczny stosunek do wielu obowiązujących przepisów. Do kodeksu karnego z 1932 roku wprowadzono przepis o odpowiedzialności karnej za znieważanie marszałka Piłsudskiego. Umarzałem często te sprawy, ponieważ karanie przeciwników marszałka uważałem za bezsensowne. Pamiętam duży proces przeciwko dziennikarzowi Cywińskiemu, który napisał, że marszałek jest kabotynerem.

– **Był pan przeciwnikiem marszałka?**

– Skądże! Byłem pod wielkim urokiem Piłsudskiego, ale świadom jego błędów. Nawet wygłosiłem odczyt pod tytułem *Żołnierz o swoim wodzu* w dniu 19 marca, a więc w dniu imienin Józefa. Marszałek był człowiekiem, który wszystko poświęcił dla idei. Jego córki chodziły do szkoły w cerowanych ponczochach. A dzisiaj? Kto pamięta o idei? Gdzie podzieli się wielcy Polacy? Sejm rozpoczyna urzędowanie od wykładania marmurami budynku. Po co? Qui bono? A może to najprostszy sposób na Polskę marmurową?

– **W siódmym numerze „Palestry Literackiej” zamieścił pan swoje wspomnienia. Píše pan, że po skończeniu Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego w 1926 roku, wyjechał pan na studia doktoranckie do Paryża. Tam spotkał pan wielu niezwykłych ludzi.**

– Mój paryski pobyt dał mi okazję do poznania ludzi, których nazwiska znalazły się w encyklopediach. Zetknąłem się z Tadeuszem Boyem-Żeleńskim, u Alfreda Chłapowskiego, ambasadora, bywałem na „piątkach”, które urządzano raz w miesiącu dla polskiej młodzieży studiującej w Paryżu. Widywa-

łem Rosę Baily, wielką przyjaciółkę Polski i Polaków. Poznałem też wówczas Kazimierza Plucińskiego – adwokata, pisarza, poetę, jednego z najbardziej niezwykłych ludzi jakich spotkałem w życiu. Miał on własne, niepowtarzalne spojrzenie na ludzi i zdarzenia. W okresie międzywojennym mieszkał w Poznaniu, gdzie był wiceprezesem Związku Literatów Polskich, wspólnie z Zenonem Kosidowskim organizował słynne literackie czwartki w pałacu Działyńskich, na których prelegentami byli myśliciele z całej Polski. Wyprawiał się także w dalekie, samotne podróże, aż za krąg polarny. W 1936 roku Kazimierz Pluciński wręczył mi tomik swoich wierszy: *Wolanie nowiu*. Wiedziałem, że przygotowuje zbiór felietonów *Sąd na wesolo*. Nadeszła druga wojna, która przeorała świat swoją niebywałą grozą i okrucieństwem. Uniemożliwiła mu wydanie książki, a подарowany mi tomik jego wierszy zaginął razem ze zniszczeniem mojego mieszkania w Powstaniu Warszawskim. Gdy w 1945 roku wróciłem do kraju z offlagu w Woldenbergu, dotarła do mnie wiadomość o śmierci Kazimierza Plucińskiego. Dotknęła boleśnie. Zginął w Katyniu. Opracowałem jego życiorys do Słownika Biograficznego Adwokatów Polskich.

– **We wrześniu 1939 roku znalazł się pan w bardzo trudnej sytuacji. Pana nazwisko było na czarnej liście zarówno u Niemców, jak i Rosjan.**

– Moja żona Zofia, praprawnuczka Bacciarellego, absolwentka Wydziału Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, została niemal natychmiast po wkroczeniu Niemców do Warszawy wezwana na Gestapo. Pytano ją, gdzie

mąż? Ona naprawdę nie wiedziała. Brałem udział w obronie Warszawy, a po klęsce wrześniowej dostałem się do niewoli. W Woldenbergu spędziłem całą wojnę. Tam zrozumiałem, co to znaczy być więźniem, poczułem, jak dotkliwy jest brak wolności. Ale i w oflagu zawarłem znajomości, które przetrwały próbę czasu. Moim serdecznym przyjacielem został Jerzy Hryniewiecki, znany architekt, późniejszy profesor Politechniki Warszawskiej, który projektował, między innymi, warszawski Stadion Dziesięciolecia, poznałem też Adama Rapackiego, powojennego posła na Sejm, wielokrotnego ministra. W obozie prowadziłem ożywioną działalność oświatową. Starłem się zebranych przekazać w uproszczonej formie wiadomości z dziedziny prawa. Jeden z moich wykładów, który ocalał, mam go w domu, nosi tytuł: *Trzej panowie w togach*. Ten mój wysiłek uhonorowano w 1990 roku Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Bardzo go cenię.

– **Do wojennych przeżyć obozowych wracał pan wiele razy opisując je w swoich wspomnieniach.**

– Za pracę *Adwokaci polscy w obozach jenieckich w Niemczech w latach 1939–1945* jury konkursu imienia adwokata Borysa Ołomuckiego przyznało mi wyróżnienie.

– **Pana warszawskie mieszkanie spłonęło. Napisał pan o tej stracie w eseju pod tytułem *Epitafium dla starego, rococo-wego zegara*, wydrukowanym w „Palestrze Literackiej”. Dokąd wrócił pan z obozu jenieckiego?**

– Do Grójca, gdzie znalazła się po powstaniu moja żona z synkiem. Radość, powitanie. Następnego dnia wybrałem się z synkiem po chleb. Zmrok.

Idę w mundurze polskiego oficera. Na przeciwko mnie nadchodzi kapitan wojsk sowieckich. Nie salutuję. Mijam go. On zawraca i każe iść za nim. Umieścił mnie w podziemiach zakratowanego budynku wśród podejrzanych o podpalenia, gwałty, zabójstwa. Odebrał pas i sznurowadła. Syn wrócił do domu z płaczem. Mijają godziny. Mój Boże, po to wracałem? Ja, wrześniowy oficer? Około dwunastej w nocy kapitan przyszedł po mnie. Pachniał alkoholem. Oddał pas i sznurowadła. „Na przyszły raz salutuj” – powiedział.

– **Miał pan dużo szczęścia. To powitanie mogło mieć dużo gorsze następstwa. A jak pan, przedwojenny prokurator, który oskarżał komunistów, radził sobie z wykonywaniem zawodu w ludowej Polsce?**

– Z moją przeszłością polityczną, według obowiązujących wówczas kryteriów byłem wrogiem ludu. Pojechałem do Łodzi z rodziną. W tym mieście miałem wielu przyjaciół. Zaczęłem prowadzić prywatną kancelarię adwokacką. Ale wkrótce okazało się, że jestem nie zweryfikowany. Odwołałem się, wskazując na uchybienia formalne w postępowaniu wobec mnie – nikt mnie nie przesłuchiwał. Znowu nie zostałem zweryfikowany. Wykonywałem zawód, ale w ograniczonym zakresie. Nie wolno mi było występować przed sądem wojewódzkim. Ponieważ w każdej chwili groził mi zakaz wykonywania zawodu, żona skończyła kursy krawiectwa i buchalterii, żeby w najgorszym przypadku utrzymać rodzinę. Dopiero po październiku 1956 roku pozwolono mi ubiegać się o wpis na listę adwokacką. Napisałem podanie do rady adwokackiej, w której znajdowali się

przychylni mi ludzie. Zostałem przyjęty.

– Jest pan nie tylko adwokatem. Ukazały się pana opowiadania, felietony, szkice, a także zbiór wierszy pod tytułem: *Więc pijmy przyjaciela*. Pisanie zaczęło się u pana życiu wcześniej niż adwokatura?

– Potrzeba pisania towarzyszy mi od wczesnej młodości. W czasie bardzo intensywnej pracy zawodowej nie miałem czasu na to, żeby zasiadać z piórem w rękę nad kartką papieru. Moja pasja pisarska wybuchła dopiero po przejściu na emeryturę w 1976 roku.

– **Jak doszło do zorganizowania Klubu Pisarzy Adwokatów?**

– Zaczęło się od inicjatywy adwokata Witolda Bayera, który zaproponował, aby zorganizować ogólnopolski zjazd adwokatów zajmujących się poza swoim zawodem, także pisarstwem. Okazało się, że wśród adwokatów jest wielu znakomitych twórców, wrażliwych na słowo literatów, dziennikarzy, autorów różnych memoriałów. Niech wspomnę o Karolu Bunschu, Władysławie Rymkiewiczu, Witoldzie Kotowski – autorze książki o Reymonie, Leszku Sługockim – stendhaliliście, czy Jerzym Koryckim (Edigeyu) autorze powieści sensacyjnych.

– **Adwokaci umieją w pasjonujący sposób opowiadać o swoich procesach. Żał, że te wszystkie gawędy nie ukazują się w formie książek.**

– Zawsze uważałem, że lektura pitali jest bardziej pasjonująca, niż czytanie „kryminałów”, jako że „na świecie dzieją się rzeczy, o których nie śniło się filozofom”. Przybliżenie szerszej publiczności roli obrońcy byłoby bardzo pożyteczne. Odnosi się to przede wszys-

tkim do obron w procesach politycznych.

– Klub Pisarzy Adwokatów doprowadził do wydawania „Palestry Literackiej”. Pismo cieszyło się zainteresowaniem piszących, ale i wzbudzało krytykę tych, którzy uważali, że wiele utworów nie odpowiada kryteriom literackim.

– Od 1980 roku do dzisiaj ukazało się siedem numerów „Palestry Literackiej”. Może to mało. Ale uważam, że te siedem numerów będzie figurowało w bibliotekach jako coś wyjątkowego. Klubu Pisarzy Adwokatów, o ile wiem, nie było nigdzie poza Polską. A co do zarzutu – jeżeli wśród wielu utworów dobrych trafi się jeden słabszy, ale napisany z żarliwością, ujmujący bezpośredniością, to można go opublikować. Ja cenię utwory bezpretensjonalne, nie znoszę udziwiania w pisaniu, puszenia się sztucznością „po to, aby zadziwić burżujów” – jak mówią Francuzi.

– **Adwokatura to powołanie – stwierdził pan. Jak może pan określić swoje zamiłowanie do pisania?**

– Pisanie zawsze było moją wewnętrzną koniecznością. Bywało schronieniem przed rzeczywistością. Oderwaniem od trudnego zawodu, w którym poznaje się życie z niedobrej strony, od podszewki. Poznaje się brutalne mechanizmy władzy, ogląda ludzką mizериę, dociera do zła ukrytego w człowieku. Pasjonujący zawód adwokata, w ogóle prawnika, jest wielkim obciążeniem psychicznym. Pisanie natomiast, nawet wówczas, gdy jest zmaganiem się z sobą i ze słowem, daje, tak jak każda twórczość, pełnię radości życia.

– **Dziękuję panu za rozmowę.**